

Wszystko jest absurdem - pomyślał Krzysztof. Ten sam księżyc świeci kochankom i złodziejom. Słońce pali na pustyni i rozgrzewa rozkosznie ciała po chłodnej, majowej nocy. Przyciskam do siebie głowę umierającego przyjaciela i wyciągam z jego brzucha nóż, który wbilem mu przed chwilą. Świat jest głupi i absurdalny.

Ścigał mnie od miesięcy. Wydzielony oddział wojska, którym dowodził, rozbił mój trzynasty pułk NSZ w obławie pod Korzymiem. Nie wiem, kto zdradził, ale komuniści zapuszczali macki wszędzie. Mieli swoich donosicieli po wsiach i miasteczkach. Zjawiali się coraz częściej w miejscach, gdzie stacjonowaliśmy. Czasem miałem wrażenie, że nawet drzewa są już na ich usługach. Nie chroniły tak dobrze jak kiedyś. Moi chłopcy ginęli, krwią użyźniając ziemię wokół sosen, świerków i jodeł. Lasy świętokrzyskie będą kiedyś barwić się czerwienią swoich igieł.

Zostałem sam. Wybili bądź wyłapali wszystkich. Nie byłem już żadnym zagrożeniem. W podartym mundurze, brudny i głodny, błąkałem się po znajomych lasach. Ale on wiedział kogo ściga. Parokrotnie widywaliśmy się z daleka podczas wymiany ognia. Raz naszedł mnie nocą w chałupie starego Walendziaka. Wyskoczyłem spod pierzyny rudej Maryśki i w samych kalesonach uciekłem oknem. Dziwne. Miał mnie bezbronnego na muszce i nie strzelił. Dlaczego wszedł sam, zostawiając żołnierzy na zewnątrz? Przemykając jak zając w młodym zbożu, słyszałem za sobą kanonadę. Nie trafili. Okazał się nieprofesjonalny, a przecież wykazał się znajomością taktyki podczas obław, które nas zdziesiątkowały.

Westchnął i otworzył oczy. Patrzył na mnie i jakiś uśmiech przeleciał mu w kąciку ust.

- Krzychu... - Ciężko dyszał. Głos był słaby więc pochyliłem głowę. - Dopadłem cię... wreszcie...

Stałem po pas w rzecze, gdzie zakończyliśmy nasze rachunki, trzymając go w ramionach. Woda wokół zabarwiona była na czerwono. Krew tworzyła w niej smugi, które rozrywane nurtem rozplýwały się po kilku metrach. Przybywały wciąż nowe. Ileż tego życiodajnego płynu mieści się w człowieku? Ile musi go ująć z otwartych nożem wrót, aby zapadła kurtyna ciszy i spokoju? Spływała i wciąż pojawiała się na nowo.

W szkole nacięliśmy sobie serdeczne palce i wymieszaliśmy naszą krew. Och, ten Karol May! To był nasz szczeniacki symbol braterskiej więzi aż do śmierci. I słowo ciałem się stało. Powtarzamy teraz ten rytuał, ale w jakże okrutnych okolicznościach i czasach. Bo ja też krwawię.

- Poła. – Zwrócił się do mnie ksywą, jaką miałem w szkole. - Wiesz... tam w chałupie... ja nie chciałem... strzelić... i specjalnie zostawiłem chłopaków... na zewnątrz... chciałem pogadać...

- Nie mów. Wiem. - Przytuliłem policzek do jego mokrych włosów. - Wyłizesz się.

Popatrzył z ironią.

- Nie... ża...rtuj. - zachłysnął się i rozkaszał. - Miało być... do śmierci, to... to jest.

- Do dupy jest. Ty odejdziesz, a ja zostanę. W tym lesie. Kurwa mać! Aż znajdzie mnie twój zastępca. Zresztą – niech mnie znajdzie, bo zmęczony jestem. Nic już nie zmienię. Ani w sobie, ani na tym świecie. Chujowo, ale bojowo.

Trzymałem policzek na jego głowie. Flesze wspomnień. Obóz skautów w Rokiczynie. Smród przepconych ciał, kiedy wróciliśmy ze wsi ukraińskiej. Zanieśliśmy tam z trudem, wielkie konwie zlewki z naszej kuchni obozowej. Resztki były oddawane miejscowym. Byliśmy przekonani, że karmią nimi świnie. I zobaczyliśmy przez okno, jak stara babuszka rozlewała je w gliniane dzbanki jako obiad dla całej rodziny. Spojrzeliśmy po sobie i nawzajem widzieliśmy szklące oczy. Straszny żal, przerażenie i współczucie. Po cichu potem segregowaliśmy odpady i wieczorami zanosiliśmy je babuszce i innym. Ze spuszczonej oczami. Tyle, że on winił sanację i czarnych. Ja komunistów i nacjonalistów ukraińskich.

„Ty czarny wypierdku!” „Pierdolony socjalisto!” - wymienialiśmy uprzejmości w restauracji „Kolorowa”. Przedmiotem naszej, konstruktywnej rozmowy była mała Ania, córka miejscowego aptekarza. Obaj ją kochaliśmy. Chodzący pustostan z wielkim biustem, który przyciągał wzrok jak kość u wygłodzonego Burka. Potem daliśmy sobie po pysku, wypiliśmy litr wiśniówki (straszenie rzygałeś) i usnęliśmy spleceni w pobliskim lesie. Ania wyszła za przyszczatego Heńka z wielką kasą, a my byliśmy znowu przyjaciółmi. Pełno było takich chwil.

- Wy... wychrobotaleś ją? - usłyszałem. Cholera, jakże jest mi bliski. Wiedziałem o co pyta, a on jakby czytał w moich myślach.

- No. A ty?

- Też.

- Głupia Ania. Takich chłopaków nie chciała. Ale różnęła się super.

Skinął lekko głową.

Czułem ogarniającą mnie słabość. Przed oczami zaczęły wirować kolorowe kręgi. Wyczerpanie, kurwa. Dni spędzone na uciekaniu. Jak zaszczuty pies. Głodny i zmarznięty. Poobijany i pokaleczony po walce z nim w zimnej wodzie rzeczki. Drżałem jak w febrze.

Staliśmy nad jej brzegiem. On celował do mnie, a ja do niego. Potem jednocześnie odłożyliśmy broń.

- Co jeszcze ode mnie chcesz? - zapytałem. - Zabiliście wszystkich. Do czego jestem ja potrzebny w waszej statystyce śmierci?

- Chcę, abyś żył. Dam ci dokumenty i wyjedziesz na ziemię odzyskane.

- To po co ja walczyłem? Żeby teraz kryć się jak szczur? Zniewalacie naród do spółki z ruską hordą. Nie ma wolności...

- A na chuj ludziom wolność? Przeżyli koszmar okupacji, terror pojebanych Niemców. Chcą tylko żyć i mieć pełne brzuchy. Nic takie dinozaury jak ty, nie zmieniają. Musisz odejść. Jesteś groźny jako symbol. Niektórzy jeszcze się burzą we własnych sumieniach. Trzeba im zabrać symbole. Czyli ciebie.

- Pierdolony socjalista.

- Kurewski narodowiec.

Sięgnąłem za pas po nóż.

- Skończmy to. Dureń jestem, ale mam ideały. Za nie czasami warto umrzeć. A najlepiej z ręki przyjaciela.

Popatrzył na mnie z żalem.

- Daj spokój.

- Nie.

Skoczyłem do przodu. Zrobił unik i wyjął swój nóż. Krążyliśmy wokół siebie, ale jakoś żaden nie miał woli do ataku. Potknął się o korzeń i poleciał w moją stronę, a ja pomyślałem, że zaatakował. I zaczęliśmy...

Byłem coraz słabszy. Z trudem trzymałem jego głowę i nie miałem siły wyjść na brzeg. Zaraz zemdleję. Czyżby aż tak wyczerpała mnie ta walka? Tylko buzująca adrenalina podtrzymywała moją świadomość.

- Warto było? - zapytał.

Krew ciągle barwiła wodę. Skąd jej tyle?

- Nie warto. Ty odchodzisz, a ja stąd nie odejdę. Głupi jestem.

- A może pójdziemy razem? Tam już nic nas nie poróżni.

- Myślisz, że sobie strzelę w łeb? Nie żartuj. Za bardzo się boję. Znowu lekki uśmieszek w kącikach ust.

- Wynieś mnie z tej wody.

Z trudem zacząłem go wlec. Na brzegu musiałem się czołgać, ciągnąc go za sobą. Odlatywałem. Gdzieś

bardzo daleko.

Jak przez ścianę usłyszałem.

- Spójrz na swoją nogę.

Z ogromnym wysiłkiem podniosłem powieki. Strasznie chce mi się spać!

W udzie była dziura! Trafił mnie, kiedy upadał. Nie poczułem tego w zimnej wodzie. Z przeciętej tętnicy miarowo wytryskiwała jasnoczerwona krew. To stąd jej tyle było w rzece!

- Pójdziemy razem, pierdolony socjalisto – powiedziałem zamykając oczy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

puszczyk, dodano 11.09.2017 09:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.